



Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na cały rok	2 ruble	Na rok cały	3 ruble
„ pół roku	1 rubel	„ pół roku	1 r. i 50 k.
„ ćwierć roku	pół rubla	„ ćwierć roku	75 k.

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysyłać należy do **KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO**, jej pisarza, redaktora i wydawcy, w Warszawie, Plac Tzech Krzyży (gdzie kościół Św. Aleksandra), 8.

Ta dzisiejsza Gazeta kosztuje 5 k., a z przesyłką 7 k.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca: na stronie ósmej po 50 k.; na str. dalszych po 25 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utwory wykończane w Gazecie Ś. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

Przedpłatnikom, którzy opłacili Gazetę tylko na pierwszy kwartał tego roku, przypominamy że dzisiejsza **Gazeta jest już ostatnia w tym kwartale.** Kto Gazety na dalszy czas dotąd jeszcze nie zamówił i nie opłacił, niech teraz pośpieszy.

Pisarnia Gazety Świąt, przenosi się do domu pod liczbą 8 na tymże placu Tzech Krzyży, po przeciwną jego stronę (przez bramę, na dole).

Bezrobocia.

Był rok powodzi, zalewu łąk i pól przez całe lato, a więc rok kłeski, nieurodzaju zboża i braku paszy dla bardzo wielu wsi i całych okolic kraju. Dobrzy ludzie z różnych stron wspierali cierpiących, lecz zaledwo drobną cząstkę strat zdołano im wynagrodzić i nie wszystkich pono od głodowej śmierci uratowano. Po roku zalewu nastąpił znowu rok suszy, o jakiej żyjący ludzie pojęcia w naszym kraju nie mieli. Więc znowu kłeska, nieurodzaj, głód ludzi i żywności w mnóstwie wsi. Nie koniec na tym, bo to rok krwi, rok wzajemnego zabijania się ludzi, rok rzezi baranków na ofiarę bożkowi wojny. Odbywa się wojna wielka, jakiej w wielu lat na świecie nie było. Wojna to bardzo daleka od nas przestrzeń, ale znaczeniem i skutkami bliska. Iluż tam braci i synów naszych, a nawet ojców, stryjów, wujów. Ilu znowu tutaj ojców, ile matek, i żon, i dzieci w tęsknocie i trwodze o losy, o życie swych najbliższych i najdroższych. A ile ich już tylko oplakuje, lub oplakiwać będzie poległych! Ile już wdów i sierot pozostało?

Dosyć już chyba złego na te czasy. Czyż trzeba nam jeszcze więcej? Trzebaż nam, żeby i tu, w kraju, ludzie, bracia, dzielili się na nienawistne sobie nawzajem gromady, i między sobą się żarli? Komuż z tego pociecha?

I na tych kłeskach nie koniec. Z powodu nieurodzajów, a jeszcze bardziej wojny, niepokoju o to, co będzie, — z powodu zajęcia się wojną, wydatków i wyjazdu na nią, a wreszcie zajęcia dróg

żelaznych i pociągów przewozem wojsk z ich przyborami i zapasami na daleki wschód, — nastąpił zastój w handlu. Ludzie u nas i na dalekiej azjatyckiej obczyźnie zaczęli mniej różnych rzeczy kupować. Kupcy zmniejszyli zamówienia na wyroby fabryk naszych, niektórzy przestali całkiem je sprowadzać, a inni podupadli i nie mogli należności za dawniej już sprowadzony lub zamówiony towar popłacić. Nastąpił więc zastój i w przemyśle, to jest w rzemiosłach i fabrykach. Właściciele fabryk i majstrowie nie mając, albo za mało mając zamówień na swe wyroby, musieli stanąć z wielu robotami, zmniejszyć ich ilość. Tysiące czeladzi i robotników, szczególnie w takich miastach, jak Warszawa, Łódź, potraciły zarobek. Dla jednych starczyło roboty ledwo na pół dnia, a innym zabrakło zupełnie, nie mieli już po co do fabryki lub warsztatu przychodzić. Niektóre zakłady zamknięto nawet całkiem. I mnóstwo ludzi po miastach poszukuje daremnie byle jakiego zarobku; radziłyby i na złotówkę w dzień zapracować, choć to na życie w mieście nie starczy, — ale oni i dwóch groszy zapewnionych nie mają. Jeden więc ucieka na wieś pod stuzecze ojca lub brata; drugi zmuszony jest głodem, często nie własnym tylko, ale i żony i dzieci, rękę wyciągać i o litość ludzi błagać; inny, wstydzając się żebractwa, z głodu wprost na ulicy mdleje lub umiera. Często takich, z głodu tylko osłabłych i bez zmysłów leżących na mrozie lub słońcu, znajdują w Warszawie i Łodzi.

Nie lepiej, niż z przemysłem fabrycznym i rzemiosłami, dzieje się też z rolnictwem, z gospodarstwem wiejskim. Z powodu zastoju w handlu i przemyśle, zmniejszył się naogół pokup wytworów rolnych do miast i fabryk w kraju. Za granicę zaś nasze wytwory oddawna już mają drogę zamkniętą lub bardzo utrudnioną cłami i podatkami granicznymi, ustanowionymi i pobieranymi głównie przez rząd niemiecko-pruski. Wkrótce ma z tym być jeszcze gorzej. Skutkiem nowej umowy handlowej, zrobionej między rządami pruskim a rosyjskim, cła od zboża i innych wytworów gospodarskich do

Niemiec wywożonych będą jeszcze większe, mięsiwa zaś od nas, świń, krów, koni, ani innej żywności nie będzie można prawie wcale tam posyłać, ani zbywać. Niemcy chcą i uchwalili na sejmach, żeby tylko ich gospodarze rolni z uprawy zboża i z hodowli żywności mieli u nich zarobek i mogli swe wytwory jak najdrożej sprzedawać.

Wolno Niemcom dbać o siebie, o swoich, o korzyści swoich rzemiosł, fabryk, i swoich gospodarzy rolnych, o rozwój i wzrost niemieckiego rolnictwa i hodowli, o to, żeby ich rolnicy jak największe zyski mieli z ziemi. Wolno im to wszystko. My im nie możemy zabronić nawet tego, żeby się dorabiali i wzbogacali nie naszym kosztem i bez naszej krzywdy. Ale myśmy też powinni o siebie i o swoich dbać i starać się gorliwie, żeby chociaż u nas samych nikt nikogo nie krzywdził, żeby nikt nikomu gwałtu ani bezprawia nie czynił, żeby wszystkim było jak najmniej źle, i, o ile tylko może, jak najlepiej.

Aby wszystkim było, o ile może być, jak najlepiej, potrzeba, żeby ludzie zawsze mieli w pamięci dwa najważniejsze przykazania, i żeby nimi się rzadzili, w żadnych okolicznościach przeciwko nim nie grzeszyli: 1) Miłuj Pana Boga nad wszystko; 2) miłuj bliźniego jak siebie samego.

Boga prawdziwie miłować może każdy przez wypełnianie wszystkich Jego przykazań. Bliźniego zaś miłować — to znaczy: nie czynić żadnej krzywdy żadnemu człowiekowi, nie bacząc na to, kim ten człowiek jest, czy ci bliżki, czy daleki, ani jakie między nim a tobą są różnice. Nikomu nie czynić nic, co tobie nie miło, gdyby ci to czyniono; każdemu zaś uczynić dobrze, usłużyć uczciwie, lub dopomóc w potrzebie, gdy jest sposobność i możliwość.

Mówię to, co od tysięcy lat wiadomo i o czem wszyscy dobrze wiemy. Tak, wiemy, słyszymy o tym ni-rzaz, czasem i na języku to mamy; ale za mało o tym pamiętamy, a jeszcze mniej ludzie to rozważają i według tego w życiu postępują. Dlatego o tym Boskim przykazaniu miłości bliźniego przypomnieć mi dziś wypadło.

Wszyscy winniśmy czynić ludziom dobre i nawzajem się wspierać, wspomagać. To wynika z Bożego przykazania o miłości bliźniego. Gdy zaś ludzie żyją w jednym społeczeństwie, to samo wynika z pamiętania o swoim własnym pożytku, o swoich własnych, jak i o innych ludzi, potrzebach. Bo społeczeństwo to jest ogromna spółka: im lepiej w społeczeństwie się dzieje, im lepiej każdy w niem do ogólnego dobra się przykłada, tém lepiej i tobie w niem będzie.

Jeszcze mocniej to się stosuje do ludzi nietylko żyjących w jednym społeczeństwie i do niego należących, ale pracujących na wszelkich stanowiskach około jednego zawodu, lub w jednym zakładzie. Jeśli to jest jakieś rzemiosło, albo fabryka, to im lepiej wszyscy jej pracownicy, od dyrektora aż do ostatniego robotnika, spełniają swe czynności, tém lepsze będą wyroby fabryki, tém więcej będą ich poszukiwali ludzie, tém więcej lub po lepszej cenie będą nabywali. Fabryka też tém większe będzie przynosiła korzyści właścicielom, tém lepszy i pewniejszy zarobek robotnikom. Im lepiej też gdzie stanie i jest urządzone gospodarstwo rolne, tém większe dogodności ono może dać zarówno gospodarzowi czyli właścicielowi, jak i parobkom i innej służbie, a nawet sąsiadom, gospodarzom pobliskim, dla których jest nauką i wzorem ulepszeń i pomocą w nabywaniu dobrych nasion, narzędzi, żywności. Gospodarstwo, jak i fabryka nieduża, ma zwykle jednego właściciela; ale dostarcza ono korzyści, sposobu do życia, a może i różnych dogodności nietylko jemu, lecz i innym, szczególnie zaś ludziom w niem pracującym. Jeśli to ludzie porządni, nie źli i nie głupi, to o gospodarstwo, w którym pracują, wszyscy się troszczą tak, jak o swoją własność, i dokładają starań, każdy w swój robocie, aby mu się dobrze działo.

Lecz, wiadomo, nie wszyscy, nie wszędzie i nie zawsze ludzie są roztropni i dobrzy. Jeśli pracownik jakiego zakładu źle pełni swój obowiązek, to go właściciel, lub gospodarz, pozbywa się we właściwym czasie i przyjmuje innego pracownika. Gdy znowu pracownik nie zadowolony z właściciela lub z zarządu, to „dziękuje za robotę“, i odchodzi. Niekiedy jednak i tak się trafić może, iż sam właściciel zakładu nie pojmując dobrze własnego pożytku i źle spełnia swój obowiązek, czyli to, czego się podjął, do czego zobowiązał się względem czy to pracowników zakładu, czy ludzi kupujących od niego wyroby lub wytwory. W obu wypadkach takich uszkodzeni bywają pracownicy: raz krzywdą bezpośrednią, naprzykład niedotrzymaniem umowy, zatzymywaniem zapłaty należnej i t. d.; drugi raz podkopaniem dobrej sławy zakładu, odstręcaniem nabywców od wyrobów jego, przez co pracownikom zmniejsza się ilość roboty i zarobek. Trudniejsza bywała sprawa pracownikom ze złym właścicielem zakładu, ale panem na własnych śmieciach, niż właścicielowi z pracownikami na jego śmieciach szukającymi zarobku. Lecz znalazł się sposób i na właścicieli. Oto pracownicy zmagają się między sobą, dają sobie nawzajem słowo, że będą się trzymali zgodnie, póki właściciel się nie poprawi, i wszyscy idą do niego, wypowiadają mu porządnie, spokojnie i grzecznie, ale stanowczo, swoje żądania, i porzucają robotę do czasu, aż właściciel zgodzi się żądania te spełnić, jeśli są słuszne i do spełnienia możliwe. Gdyby zaś wymagania pracowników były nie-

słuszne, niemądre, lub zanadto uciążliwe, to albo ciż pracownicy muszą ich się zrzec, albo właściciel zamyka zakład, lub przyjmuje pracowników innych, poprzedni zaś tracą u niego możliwość zarobkowania.

Takie znowy, w Anglii poczęte, i tam, po angielsku przezwane strajkami, zdarzają się w różnych krajach od lat stu blisko. Znowę o bezrobocie robią zwykle robotnicy jakiegoś jednego zakładu, jednej fabryki, albo jednego zawodu, naprzykład górnicy-węglarze, albo mułarze w jednym mieście, albo piekarze i t. d. U nas zdarzały się one od niebardzo dawna i rzadko gdzie i kiedy.

Aż nagle w końcu stycznia tego roku zaczęło się bezrobocie w Warszawie i następnie w innych większych miastach i okolicach fabrycznych. Było to bezrobocie niezwykłe, bo powszechne: ogarniało ono wszystkie fabryki i zakłady przemysłowe. Wynikło więc nietylko w tych zakładach, gdzie robotnicy czuli potrzebę jakiejś poprawy, ale i tam, gdzie byli z zarobku swego zadowoleni, a z właścicielem, z gospodarzem zakładu w jak najlepszej zgodzie. Z tego już widać, że przyczyną bezrobocia była nie wewnętrzna potrzeba, ale obcy zakładom nacisk z zewnątrz. I naprawdę wszędzie zaprzestawano pracy za zjawieniem się gromadki ludzi, którzy nakazując bezrobocie nie szczędzili też pogróżek, grożąc karą śmierci i spustoszeniem zakładu w razie nieposłuszeństwa.

W podobny też sposób zmuszano pracowników do stawiania żądań, a właścicieli zakładów do zgodzenia się na takie żądania, lub do ustępstw mało od tych żądań różnych. Nie zważano na to, czy płaca za robotę była gdzie mała, czy wielka; wszędzie zniewalano do jej powiększenia. I tu więc chodziło nie o prawdziwe potrzeby pracowników, jeno o coś innego, o pokazanie, że się postawiło na swoim.

I urządzono takie bezrobocie jakby na pośmiewisko z prawdziwej biedy. Urządzono je podczas zastoju w handlu i przemysle, kiedy fabryki musiały z robotami stanąć lub je zmniejszyć, a robotników rozpuścić z powodu braku zamówień. I cóż? Doczekano tego, że tym, którzy zarobek i chleb mieli, płace zostały powiększone, a część roboty ujęta. Ci zaś, którzy utraciwszy roboty w fabrykach, marli z głodu, pozostali nadal głodni, na bezrobocie skazani.

Z tego więc też dobitnie widać, że owo powszechne bezrobocie nie wynikło z jakiejś krajowej potrzeby, ale zostało z zewnątrz naszym fabrykom, rzemiosłom i miastom narzucone.

Gdy ono w zakładach przemysłowych się kończyło, przeniesiono je kolejno do zakładów handlowych, biur, na drogi żelazne, a nareszcie i do wiosek, zwłaszcza do dworów wiejskich. I tu urządcze bezrobocia przychodzi z rzeszą okolicznego ludu, aby zmusić parobków i inną służbę do powstrzymania się od robót i do targu z gospodarzami o powiększenie płacy i poprawę bytu. I tu nie zważają na to, jakie gdzie służba ma wynagrodzenie i jakie dogodności. Choćby gdzie było z tém jak najlepiej, to jednak zawsze każą wstrzymać się od roboty i żądać polepszenia bytu.

Jedno jest do pochwalenia w tych bezrobociach parobków i służby wiejskiej: to, że zachowują się naogół spokojnie i że wstrzymując się dni parę od robót, nie zaniedbują jednak karmienia i obrządzania żywności. Tkwi w tém iskierka uczciwości i dobrego serca dla zwierząt. Niech

też w tych sercach płonie zawsze miłowanie Boga i miłowanie bliźniego, miłowanie człowieka w każdym stanie. Niech wie każdy, że kto nas zachęca do spełniania przykazań Bożych, i kto w nas dobre serce do ludzi podtrzymuje, do zgody z nimi zachęca, kto każdego bliźniego miłować każe, ten, jeśli tylko szczerze mówi, jest naszym prawdziwym przyjacielem. Kto zaś przeciwnie, nienawisć do ludzi podnieca i szerzy, ten z pewnością jest naszym wrogiem i na szkodę nam działa.

Wszystkim ludziom po wsiach dobrego bytu życzę z całego serca, i pragnę też, aby wszyscy u nas nauczyli się, jak należy, godność ludzką w nich stale szanować. Najpierw zaś i najgoręcej życzę, aby oni sami nie pychę próżną, ale tę szlachetną godność ludzką wysoko w sobie nieść umieli, nie poniżając się do żadnych niegodziwych postępów, ani do chytrności podłej. Wszystkim wreszcie rolnym pracownikom na wszelkich stanowiskach, czy to gospodarzom, czy ich pomocnikom, rządcom, ekonomom, karbowym i parobkom, życzymy téj dobrej woli i rozumu, żeby wiedzieli i czuli, że praca ich, że zabiegi rzetelne około téj roli, na której pracują, wiodą do wspólnego ich dobra; że dobre prowadzenie i rozwój gospodarstwa krajowego na wszystkich ich pracy polega. Każdy z nich zarówno o to dbać powinien, aby wszyscy oni z rodzinami na roli téj, z tego gospodarstwa żyli, nie wpadając w długie i kłopoty, i żeby żadnemu z nich nie działa się krzywda. Wszyscy niech będą dla siebie nawzajem życzliwi i niech na zaufanie zasługują.

Sądzymy, że gospodarstwu rolnemu u nas bezrobocie owo ważnej, a może i żadnej szkody nie wyrządzi. Zależy to jednak od poprzedniego już przygotowania gruntu, na jaki padnie ziarno przez urządczy bezrobocia zrucone. Miejscami może ono wyrodić się tak, że owocem jego będą poprostu napady rabusiów albo zbójów, podobne tym, jakie się wydarzyły w powiecie będzińskim, lub w zupełnie innych stronach i bez porównania dalej od Warszawy.

Ociągałimy się z pisaniem o téj sprawie, ponieważ wiemy zgóry, że w tym razie słowa nasze w Gazecie Świątecznej doraźnego skutku wywrzeć nie mogą. Zbyt nim zaś pośpiechem można tu było tylko zaszkodzić, nie mogąc ustnym powiadem i osobistym działaniem przeszkadzać, a nadając przedczesny rozgłos temu, co się miejscami wydarzyło. Tu żadnym „artykułem“ na razie niczego nie dokażesz. Tu cały przebieg zależy od poprzedniej uprawy umysłów. O stałych też czytelników Gazety Świątecznej jesteśmy pewni, że na żadne bezdroża daleko wciągnąć się nie dadzą. Oni już w tym razie i bez szczególnych ostrzeżeń obyć się mogą. Ci zaś, do których pewni panowie „obywatele“, w swój naiwnej uległości pewnym pokątnym staraniom, Gazety Świątecznej nie dopuszczają, — ci ludzie pisania w niej najprędzej nie przeczytają wcale, a jeśli i przeczytają przypadkiem, to będzie ono dla nich tém samym, czém jest groch dla ściany, gdy go na nią rzucisz. *Pisarz Gazety Świątecznej.*

NOWINY.

Z powiatu lubartowskiego.

Miasteczko nasze i okolica spokojnie sobie dotychczas dzemalały. Każdy zajmował się swoją pracą, troszczył się o kawałek chleba nie zajmując się cudzemi

sprawami. Wtém przed dziesięciu dniami zaczęły dochodzić głuche wieści, że w folwarkach okolicznych jakiś ruch się rozpoczyna. Nikt nie wiedział, o co idzie, kto robi ten ruch i w jakim celu. Wieści zaczęły się stawać coraz wyraźniejszymi i okazało się, że w Nasutowie, folwarku hrabi Zamojskiego, służba folwarczna urządziła bezrobocie. Oto parobcy, obzadziwszy zrana żywinę, nie poszli do zwykłej pracy, tylko zgromadzili się na podwórzu i zaczęli się między sobą naradzać. Gorzelnik prosił, żeby robotnicy w gorzelni nie przerywali pracy, dopóki nie ukończą roboty już rozpoczętej; więc ci pracowali do godziny 4-jej, a potem połączyli się z parobkami. Rządca, p. Rakowski, zapytał, dlaczego zaprzestali pracy? Odpowiedzieli, że mają tak małe wynagrodzenie, że nie są w stanie utrzymać się; że ordynarji nie starczy im na takie życie, aby mieli siłę do pracy. Czeladź, którą obowiązani są mieć koniecznie, coraz jest droższa i bardziej wymagająca, tak, że parobek więcej płaci swojej czeladzi, niż sam pobiera. Płacę mają tak małą, że im za ledwie starczy na buty i nędzne szmaty dla dzieci, a już niema mowy o tém, żeby je było za co posyłać do szkoły. W razie choroby leczy ich felcer dworski; a gdy trzeba koniecznie posłać po doktora, to parobek musi z własnej kieszeni zapłacić. P. Rakowski odpowiedział, że porozumie się z hrabią i da im odpowiedź. Wieczorem parobcy znowu obzadzili dobytek i rozeszli się spokojnie do domów. Następnego dnia w innych folwarkach, należących do ordynacji hr. Zamojskiego, oraz w Kozłowie, gdzie jest pałac, służba również została pracować. Tutaj jednak nie miał kto porozumieć się, ani porozmawiać z parobkami, gdyż zarówno hrabia jak i rządca wyjechali do Warszawy. Bezrobocie trwało parę dni, podczas których służba obzadzała żywinę, ale żadnej innej roboty nie wypełniała. W pałacu została tylko hrabina, która, nie mogąc doczekać się powrotu męża i rządcy, w towarzystwie księdza proboszcza z Kamionki porozumiała się ze służbą folwarczną. Nastąpiła zupełna zgoda i parobcy powrócili do pracy.

Od tego czasu każdego dnia w tych stronach były świeże nowiny i coraz inne plotki. Prawdą jest jednak to, że we wszystkich folwarkach pokoleji służba zaprzestawała pracować, ale wszędzie żywinę obzadzano. W całej okolicy ludzie, gromadząc się razem z pięciu folwarków, obchodzą dwory; poczęli znowu ci, którzy pierwsi wyszli, powracają, a inni łączą się ze sobą. To tylko bieda, że się pomiędzy sobą nie naradzili i sami nie wiedzą, czego mają żądać. Właściciele folwarków radziby się porozumieć ze służbą, każdy przystałby chętnie na słuszne żądania parobków; ale parobcy nie wiedzą, czego się trzymać, i albo co drugi dzień żądają czego innego, albo stawiają tak nierozsądne żądania, że niepodobna porozumieć się. Ot, zawsze źle, gdy niema jedności! Gdyby służba folwarczna rozważyła i zgodziła się pomiędzy sobą na jednakowe wszędzie żądania, a właściciele folwarków porozumieli się pomiędzy sobą, o ile mogą podwyższyć wynagrodzenie, to wszystko dałoby się zrobić, gdyż zarówno dwory jak i parobcy są sobie nawzajem przychylni. Jest nadzieja, że to nastąpi niezadługo i spokój powróci. Oby tylko żli i niegodziwi ludzie nie wtrącali się w te sprawy. A takich nigdzie niebrak. Przeto ostrzegam was, bracia, unikajcie złych, a słuchajcie rozumnych i

uczciwych. Boże, dopomóż dobrym zamiarom i daj ludziom rozum i jedność!

Swoja.

Z Chyliczek przy Piasecznie pod Warszawą pisze do nas jeden czytelnik:

Chcę zapoznać spółytników Gazety z życiem naszym w tej miejscowości znanej z zakładu hrabianki Platerówny. Jest nam tu, czeladzi folwarcznej, bardzo dobrze. Mamy mieszkania porządne, z podłogą, o dużych oknach podwójnych, z kuchniami obszernymi. Na zimę mamy nadto żelazne kuchenki. Każdy ma osobno górę, piwnicę murowaną na kartofle, i oborę na krowę i na świnię. Mamy także i kąpiele. Opału dostajemy tyle co potrzeba; ordynarję i płacę wydają nam co kwartał, a ci, którzy chodzą na dniówkę do roboty, mają wypłatę co sobotę. Corok na Boże Narodzenie dają dzieciom naszym na gwiazdkę całe ubrańka. Pani założyła dzieciarnię, do której przyjmują na pożyteczneienne zabawy nietylko dzieci czeladzi dworskiej, ale i obce. Panie ze szkoły gospodarskiej w Chyliczkach przygotowują do spowiedzi dzieci z całej parafji. Niebrak też nam i każdemu, kto się zgłosi, książek do czytania. W niedziele i święta przychodzi do czworaków z zakładu p. Felicja Wyczalkowska. Siedzimy się wtedy wszyscy do jednego mieszkania, a ona nam czyta książki religijne i tłumaczy, czego nie rozumiemy. Niech ją Pan Bóg stokrotnie za to wynagrodzi, bo nas dużo dobrego nauczyła. Kobiety nasze i dziewczęta uczą się wieczorami pod kierunkiem pań różnych robot: szycia, robienia pończoch, haftu i t. p., a chłopcy wyplatania koszyków. Sama pani sprowadza też dla nas Gazetę Świąteczną. Za te wszystkie dobrodziejstwa powtarzamy w duchu serdecznie Bóg zapłać naszej pani hrabiance. Niech jej Pan Bóg da jak najdłuższe życie, a po śmierci niebó. Przepraszam, że błędnie piszę, alem się w szkole nie uczył, tylko sam wieczorami.

W. Staszewski.

Pobór koni. Pod koniec przeszłego tygodnia władze wojskowe zebrały potrzebną ilość koni zdalnych do wojska w powiatach: warszawskim i nieszwawskim gubernji warszawskiej, słupeckim gubernji kaliskiej, bzezińskim i łódzkim gubernji piotrkowskiej, i w ostrołęckim gubernji łomżyńskiej.

Obcy przybędą. Do ustronnej wsi Mereckich w powiecie dzisieńskim przyszedł w jesieni jakiś obcy człowiek, ubrany, choć było zimno, w letni, faldzisty chałacik. Wstąpił do chaty wdowy mieszkającej z 19-letnim jedynakiem, i umówił chłopca, żeby go odwiózł do miasteczka Szarkowszczyzny. Prawie za cztery mile drogi obiecał zapłacić rubla. Gospodyni więc nie tyle dla zysku co z ludzkości zgodziła się, żeby syn jechał. Narkarmiono obcego, dano mu kożuch na drogę, chłopiec wziął drugi, i pojechali. Nazajutrz matka czekała powrotu syna. Ale minął dzień, minął drugi, trzeci, minął i tydzień, i miesiąc, a chłopak z furmanką nie powraca. Z każdym dniem niepokój biednej matki się zwiększał. Chyba już nie żyje — myślała o synie. — Gdyby żył, to w jakikolwiek sposób dałby znać o sobie. Aż oto po kilku miesiącach domysły jej się potwierdziły. Niedawno ten sam przybędą najął sobie w innej wsi podwodę. Wiozący go człowiek wstąpił nocą do chaty, w której się świeciło, a ów obcy pozostał z koniem na drodze. W chacie szli szewcy. Jako ludzie ciekawi i bywali, pytają się

wieśniaka, dokąd i po co jedzie? On mówi, że wiezie jakiegoś obcego. Tedy pytają go: — A czy ma on palce u rąk? — Wieśniak odpowiada, że nie ma. Więc powiadają: — Zawołaj go tutaj, bo to jakiś ptaszek podejrzany. — Gdy przybędą przyszedł, szewcy tak jakoś do niego się wzięli, że przyznał się, iż zabił owego chłopaka z Mereckich, i pokazał miejsce w lesie koło Jod, gdzie trupa porzucił. Znaleziono już tylko nogi i jedną rękę; resztę zjadły psy, albo wilki, czy może lisy. Zbój pewnie już niejednego zgładził.

Gościnność i dobre serce — to piękna cnota; ale z obcymi, nieznanymi ludźmi bądźmy ostrożni. Tém większa ostrożność w moich stronach potrzebna wobec tych, którzy mają palce połamane, albo odcięte, bo tu w ten sposób kaza włościanie złowionych na kradzieży.

Galas.

Oblawa na złodzieji. Było to we wsi Domaniewicach pod Łowiczem. We środę 1-go marca późno wieczorem, choć było bardzo ciemno, Józef Rutkowski, mieszkający przy trakcie, zauważył jakąś furmankę jadącą od strony Łowicza do Główna. Dojeżdżawszy do wsi, furmanka, na której siedziało trzech chłopów, stanęła koło kaplicy. Nieznajomi pogadali pociętu i pojedali do zagajnika o pół wiorsty za wsią. Tam, może o dziesięć pretów od drogi, wypęglili konia, uwiązali u woza, dali mu owsa, a sami chcieli zabawić się najpierw papierosami. Jeden z nich zapalił zapalkę. Wtedy Rutkowski spostrzegł, że wypęglili konia i na długo znać się roztasowują. Ha! — pomyślał sobie, — to padnie czems niedobrem. Zaraz więc zbudził sąsiadów: Józefa Adacha, Józefa Przyradzkiego, Marcina Radzikowskiego, Jana Gzelaka i Antoniego Płociennika, pół-chłopa tylko, bo choć ma lata, jest tak małego wzrostu, że sięga innym za ledwo do pasa. Naradzili się, i poszli pociętu do zagajnika bez żadnej broni, tylko z kijami, jakby jakie zwiezę odegnąć. Rozdzielili się na dwie gromadki, po trzech, i dalej na oblawę! A tu ciemno, że jeden drugiego nie widzi. Gdy ptak zaszleścił na kłaku, to włosy im stawały na głowie, bo myśleli, że złodziej ich łapie. Uszli parę pretów, a tu stoi wóz. Więc co prędzej zapęglili konia do woza i pociętu przyprowadzili do wsi. Potem zbudził sołtysa i więcej ludzi, i radą, co tu robić. Sołtys, Józef Piezwnski, powiedział, żeby przy wozie pozostawić stróża, a w kilku iść do zagajnika i pilnować. Tak też zrobili. Poszło siedmiu. Przyczajili się w kłakach, patzą. Aż tu idzie trzech w to miejsce, gdzie był wóz. Wtedy odzywają się nagle: — Kto tu? — A tamci w nogi! Pozucili worki z gęsmi, których byli już ukradli dziewięć. A gospodarze za nimi i krzyczą: — Stój, bo nie ucieczesz! — I gnali ich może z jakie czterdzieści pretów ku kaplicy. Wtém jeden z drabów, największy, odwróciwszy się zaczął strzelać z rewolweru, ale za czwartym strzałem wpadł nogą w rów i przewrócił się nawznak. A goniący na niego! Tamci zaś dwaj uciekali, co tylko nóg starczyło. Gospodarze uradowani, że złapali jednego, poniechali tamtych, i dalej klepć ptaszka po gźbiecie! Odebrali mu rewolwer sześciostzałowy, duży taki jak strażnicy noszą, przyprowadzili do woza i pytają, czy poznaje swój wóz. Ale się zaparł, mówiąc, że idzie na jarmark do Strykowa. Pytają: — Jak się nazywasz? — Tak a tak. — A towarzysze twój? — Powiedział, ale to wszystko nieprawda. Zamiast prosić, to on dalej pzebrać i grozić, że popali osady tych, co go klepali po plecach. Więc oni mówią, że trzeba radzić nad nim, kiedy taki zuchwały. I zaczęli go sadić, a on ze strachu życie zakończył. Przy oględzinach trupa okazało się, że musiał być chłop silny i złodziej nielada, bo miał po ciele rany już pozagajane i jedno zebro złamane z dawniejszych wycieczek. Dotychczas jeszcze nie wykryto, zkad był. W Domaniewicach już mu było zapewne nie pierwsze, bo dwa tygodnie temu skradziono tam dwie krowy i dwadzieścia kilka gęsi.

W. K.

Dzieci przy ogniu. We wsi Kamieńcu pod Izbicą w gubernji kaliskiej mieszka wyrobnik Kazimierz Woźniak, utrzymujący się z zarobków w pobliskim dwozce. Któregoś dnia żona poniosła mu śniadanie, a wychodząc z domu nie zagasiła ognia w kuchence, choć w izbie były drobne dzieci. Wtém przychodzi do dzieci Woźniaków 4-letnia Tacia Lejmanówna,

ukochana córeczka sąsiada, i stanawszy koło kuchenki otwiera drzwiczki od ogniska, aby się ogrzać. W tej chwili zapaliły się na niej fartuszek i sukienka. Na krzyk dzieci nadbiegli z pomocą starsi, ale nieszczęśliwa dziewczynka była już cała w płomieniach. Przeżyła kilka godzin w wielkich męczarniach i umarła.

Tomasz P.

Wzruszające powitanie. Do jednej zagrody włościańskiej pod Myszkowem, w gubernji piotrkowskiej, przyszedł handlarz starozakonny kupić cielę. Właściciel tej osady, powołany jako żołnierz zapasowy, wyjechał na daleki wschód. Pozostała na gospodarstwie żona z matkami dziećmi. Nieboga, pocieszając siebie, nieraz mówiła do dzieci:—Bądźcie posłuszne i prosicie Bożę, to tata powróci.—Dzieci były grzeczne i oczekiwały ojca. Gdy więc ów handlarz stanął w progu, myślały, że to ojciec, bo do chaty nikt z mężczyzn nie przychodził. Któres też krzyknęło: Tata! tata!—i wszystkie z krzykiem rzuciły się do przybyłego, a trzyletni chłopczek, zapomniawszy już, jak ojciec wygląda, ucepil się nog handlarza i nie dawał się od nich oderwać, aż handlarz wzruszony, płacząc, chwycił go na ręce. Dziecko objęło go rączkami za szyję, powtarzając: tata! tata!—Handlarz nie mógł odżałować, że nie miał z sobą choć bułki lub chleba, aby małego czemkolwiek ucieszyć.

Jan S.

Zabici, ranieni, lub przepadli na wojnie.

Z gub. warszawskiej. Zabici: Jan Bożym z gminy Góry w pow. warszawskim i Wojciech Ciecchocki z gm. Łyszkowice w pow. łowickim.—Zginęli Stanisław Bogut z Warszawy, Franciszek Kotowicz z gm. Kiernozki w pow. gostyńskim, oraz Franciszek Gołucki i Michał Krasnowski z gm. Dębów-Góry w pow. skierniewickim.—Ranieni: Wiktor Kaczyński z Warszawy, Antoni Bienkowski ze Skieczowa i Józef Kiełbiewski z pow. warszawskiego; Franciszek Kremel i Gdal Fanza z pow. grójeckiego; Józef Dąbrowski z gm. Helenowa, Teofil Plastkowski z gm. Skuła i Julian Maciejewski z pow. błońskiego; Konstanty Wronka, Jan Sawicki z Mostków i Walenty Kwiatkowski z gm. Chodakowa w pow. sochaczewskim; Jakób Wojtacki z pow. gostyńskiego; Jan Zabost z Łowicza i Ignacy Gruszewicz z gm. Złakowa-Kościelnego w pow. łowickim; Stanisław Czerbniak z Sokołowa w pow. kucyńskiego; Stanisław Gergan i Fryderyk Garder—nie podano, z kąd.—Kontuzjowany Jan Sadowski z gm. Dębów-Góry w pow. skierniewickim.

Z gub. lubelskiej ranieni: Edward Krasulik i Wojciech Szmít; Michał Pytko i Dańiel Batkin z pow. lubartowskiego, oraz z pow. chełmskiego: Marcin Franczak, Gzegorz Sawicki, Franciszek Głaz, Józef Jatzuk, Kazimierz Adalik, Prokopjusz Lewczuk i Jan Płaszczko.

Z gub. radomskiej ranieni: Kazimierz Wiczeński i Józef Olsz z pow. kozienickiego, oraz Aleksander Śliwski z pow. opatowskiego.

Z gub. kieleckiej ranieni: Kazimierz Kita i Józef Frydman z pow. mielechowskiego.

Z gub. piotrkowskiej ranieni: Stanisław Kujawski i Józef Kumanowicz z pow. piotrkowskiego; Ród Rutkowski z pow. radomskiego; Aleksander Bok z pow. bieżńskiego; Feliks Kulerski i Edward Klejman.

Z gub. kaliskiej ranieni: Stanisław Sawiński, Stefan Krutowski i Józef Pietrożak.

Z gub. siedleckiej ranieni: Gabryel Hrysiuk i Piotr Marteniuk z pow. włodawskiego, Abram Frydberg z pow. radzyńskiego i Symcha Czerwonkamiem z pow. siedleckiego.

Z gub. suwalskiej zabity Henryk Kurtynajtys z pow. wilkowskiego.—Ranieni: Józef Iwanowski i Jan Stankiewicz z pow. suwalskiego, Wincenty Siemienowicz z pow. kalwaryjskiego, Kazimierz Rutkowski i Antoni Kizlajtys z pow. wilkowskiego, oraz Józef Delinikajtys z pow. władysławowskiego.

Z gub. kowieńskiej ranieni: Jezy Wal z pow. kowieńskiego, Jan Wojswiło z pow. rosieńskiego, Ignacy Dżowad z pow. wilkomierskiego, i Jan Wołowicz.

Z gub. wileńskiej ranieni: Paweł Rakita, Walenty Maciejewski, Piotr Kuczyński i Szmul

Raps, oraz z pow. osmiańskiego: Stefan Stankiewicz, Konstanty Dwinel, Antoni Stasiłowicz, Marcin Zelanowicz, Kazimierz Bolza, Marcin Stepanowicz, Aleksy Musik i Fraciszek Jewdziejew.

Z gub. grodzieńskiej ranieni: Jan Chalko z gm. Dubnowa i Teodor Śliziewicz z gm. Żydomli w pow. grodzieńskim, Paweł Oblamski z gm. Łyszczyc w pow. bzeskim, Bazyl Gonczaruk z pow. sokólskiego, i Gzegorz Juska.

Dobra bratowa.

(Ciąg dalszy.)

Minał kwiecień, maj, i czerwiec miał się już ku końcowi. W chacie Cwikłów wszystko szło po dawnemu. Franusia uwijała się jak mogła, przy wiosennych robotach pomagając bratowej, choć ta po stracie wieprzków jeszcze krzywszemu na nią patrzyła okiem. Zbierała też Franusia pączki świerkowe i brzożowe, moczyła w spirytusie i chorą matkę zbolalę członki nacierała.

Ale choć od świtu do nocy mało co spoczęła, jakoś jej ciągle nieswojo było. Walka niewiele widywała, bo po skończeniu wiosennych robót do dworu się codziennie najmował, gdzie oficynę stawiali; drzwi i okna stolarzowi heblować pomagał. Zarabiał nieźle, więc zawsze wesół do domu wracał, i każdemu miłe słowo umiał powiedzieć. Franusia, choć jej często na sercu ciężyło, nigdy się mu nie poskarżyła, żeby go darmo nie zamuć.

Już po sianokosach, a przed żniwami—kował Jaszyna wyprawiał wesele starszej córce. Był to „cioteczny“ Tomaszowej, więc Jagna od soboty szykowała się na zabawę.

— A no i tobie trzaby się zbierać, Franusio, — przemówił wieczorem Walek do żony. — Przecie i nam tu družbowie się kłaniali, a przed wieczorem pewnie znowu przyjdą.

Franusia spojrzawszy pytająco na męża.

— A jakże ty na wesele iść myślisz? — zagadnęła. — Przecie jeszcze pół roku nie minęło, jak twój tatuś pomarł, to ci się tańcować nie godzi. W naszej wsi za nicby mieli takiego syna, coby wnet po śmierci ojca weselić się zaczął.

— W waszej, ale nie w naszej, — wtrąciła cierpko Jagna od komina. — Nas tu nikt pamięci o ojcach uczyć nie potrzebuje, a najbardziej tacy, co ich ojcowie gdzieś het po świecie kości zostawili. Jest też komu innym przyganiać!

Walek żonę po głowie pogłaskał, ale mówił:

— Widzisz, Franusiu, w każdej wsi inne obyczaje. U nas, choćby i najlepszy syn, to na pogrzebie szczerze popłacze i pożałuje; a potem, kiedy okazja przyjdzie, to i poweselić się nie grzech. Toż i tobie, kiedyś do naszej wsi przyszła, należałoby się żyć po naszymu. Warto przecież, żebyś zobaczyła, jak to u nas wywijają.

Franusi przykro się zrobiło i odezwała się z prośbą:

— Jabym przy matusi wolała zostać. Dziel im gorzej jeszcze bóle dokuczają, a kaszel znowu męczyć zaczyna. Słazu im zgotuję i okowitą wytrę, a do tańców mi jakoś niesporo.

— Przymuszać cię nie chcę, — rzekł z pewną niedźcią Walek, ale zawsze niedobrze, kiedy kobieta mężowi przygania.

— Pewnie, pewnie, — wtrąciła żywo Tomaszowa. — Łatwo to świętą udawać, kiedy kto tańcować nie umie. Widziałam ja dziewczki z Dzwonowa; obracają ci się w tańcu jak torby sieczki. Ani przy-

śpiewek nie umieją, nie tak jak Hanka wójtowczanka, co to jak z rękawa śpiewki sypie, a w oberku jak fryga się obraca. Pamiętasz, Walek, jakieście to łońskiego roku na Geblanki weselu ją wyrwali jeden przed drugim, a wójt z tatusiem twoim nieboszczykiem przyświadczałi sobie aż miło. Już i ludzie przebąkiwać zaczęli, że na drugi czwartek z wódką się wybierziesz. Było tak, było, ale ot! co z tego?

— Co było, to było! — przerwał żywo Walek; — weseliłem ci się ja nieraz i nie spamiętałbym już, z jakimi dziewczuchami wywijalem. No i teraz, choćem już ożeniony i družbować mi nie pora, przecie w kącie stać nie będę i darmo patrzeć, jak inni hasają. Potrafie i ja. No, Franusiu?

I jeszcze raz do żony się zwrócił: — Nie żałuj mi zabawy i sama się powesel. Bez ciebie nieraźno mi będzie.

Walkowa uśmiechnęła się do męża, ale wnet głową potrząsnęła.

— Idź, kiedy masz wolę, a mnie nie przynaglaj. Posiedzę se przy matusi, dzieciaków popilnuję, a i lepij, że jak niewczasowani wrócicie, będzie komu zakrzatnąć się wedle roboty.

Walek nic już nie powiedział. Szczerzy był i wesoły, ale nie lubił, żeby mu się sprzeciwiano. Zasepił się trocha od mową żony.

Wyszedł przed chałupę i na drogę spoglądał. Wieczór już zapadał, kobiety wracały do domów, niosąc w płachtach zebrane w polu zielsko. Pastuszki zganiały krowy i owce z pastwiska. Żurawie skrzypiały u studzień. A przed chałupą Jaszyna zgromadzało się coraz więcej ludzi, i strojenie skrzypiec odzywało się dźwiękami. Kto mógł, związał się z robotą, żeby pośpieszyć na tańce.

Walka też ochota brała jak najprędzej do weselników się przyłączyć; toż tam rówieśników spotka, pobawi się, wytańcuje aż miło!

Mignęła mu przed oczyma smutna twarz Franusi, kiedy jej powiedział, że na wesele się wybiera. Ale wnet się otrząsnął.

— Co tam! Mam się we wszystkiem baby słuchać? I tak mówią, że nadto powolny. Tożby się Jagna wyśmiewała, gdybym dla woli Franusi wesele opuścił. Et, niema co i gadać.

Machnął ręką i do izby wrócił.

W godzinę później cicho było w chacie Cwikłów. Dzieci spały, stara Mateuszowa przewracała się na tapczanie, a Franusia przy świetle małej lampki łatała mężowskie koszule. Markotno jej było, że Walek pierwszy raz rady jej nie posłuchał. A i ciężko jakoś było na sercu. Ale odpędzała dymurze myśli i tłómaczyła sobie sama, że nie godzi jej się o byle co narzekać.

— Nie! Swazyć się z nim nie będę, — mówiła sobie. — Owszem, jak przyjdzie, pierwsza do niego wesoło zagadam, żeby widział, że mu nie przeciwna. Milejby mi było, gdyby po mojej myśli zrobił, ale tak odrazu trudno; da Bóg, pomaleńku to go i przekonam.

Westchnęła cichutko i dalej zwawo igłą błyskała.

Tymczasem w chałupie kowała Jaszyna w najlepsze szła zabawa. Już zdaleka słyhać było pisk skrzypiec, buczenie basów i huk bębna. Izba aż się trzęsła od przytupywania tańczących. Buchało z niej jak z pieca, tak tam było gorąco. Starsi wokół na ławach się rozsiedli; inni, że ciasno i duszno im było, więc to do komory się wynosili, to przed chałupą na ławach ochłody szukali.

Walek ledwo wszedł, zaraz między parobczaków się wkręcił. Lepiej mu z nimi było, niż ze starszymi gospodarzami; bo choć go i tamci chętnie słuchali, znając jego rozsądek i statek, przecież teraz, przy weselu, miłój mu było z rówieśnikami pośmiać się i pożartować.

— Cóż, Walku? — zagadnął go Antek Sikora, niedawno z wojska przybyły chłopak. — Miłoś to nam przypomnieć dawne czasy, jakieśmy, cztery lata temu, razem hasali i družbowali. Toż i dziś ta sama ochota! prawda?

— Jak komu, — odezwał się Józek Glista. — Walkowi już nie tak sporo do tańca. Kobietę ma w chałupie, to mu pewnie zabawy skąpi. Póki człek wolny, to mu i poweselić się łatwo. A potem, Boże odpuść, za byle co baba piekło robi.

— Nie moja, — przerwał Walek. — Ani się skrzywi, choćbym jęj nie po myśli o rzekł, albo i zrobił. Ot i dziś, wolałaby, żebym w domu został, a przecież nie przeciwiała się. Ale co tam o tém gadać! Nie słyszycie niby, jak muzyka różnie, aż nogi skaczą?

I przysunął się do środka izby, gdzie kręciło się kilka par, otoczonych zwartem kołem patrzających.

Dzieciaki aż na piec powyłaziły, żeby się zabawie przyrzyć, bo i było czemu. Parobczaki przytupywali rażno i sunęli zamazyście, a dziewczęta obracały się koło nich równiutko jak frygi.

Między dziewczętami rej wodziła Hanka wójtowczanka. Czarne jęj oczy aż błyszczały z ochoty, pot oblewał czoło, a w tańcu nie ustawała.

Zabawa szła ogniście, bo stary kowal poczęstunku nie żałował i coraz to nowy antalek piwa stawiał, a młodzi weselili się z całej duszy.

Ku północy już się miało, kiedy Walek, zmęczony tańcem i duszną parnotą izby, wysunął się ku starszym gospodarzom, popijającym piwo na ławce przed chatą.

(Co było dalej, — podamy za tydzień.)

Mar. Skaw.

GOSPODARSTWO.

o dobrém przechowywaniu obornika.

(Ciąg dalszy.—Patrz w Gazecie 1262.)

Żeby lepiej zrozumieć znaczenie obornika, zastanówmy się trochę nad tém, czém się rośliny żywią i w jaki sposób. Jeżeli z jednego ziarna żyta przez lato wyrasta źdźbło ważące kilkadziesiąt razy więcej, niż ziarno, z którego powstało, to widocznie musiało to źdźbło czerpać zkadś dla siebie pożywienie, bo przecież, nie nie jedząc, nie można urosnąć, przybrać na wadze, ale można tylko schudnąć. Łatwo się przekonać, że w żętem zielonem źdźble żyta jest dużo wody, którą ono wssało z ziemi zapomocą korzeni: przez wysuszenie choćby tylko na słońcu staje się ono lżejszém, bo traci dużo wody. Jeżeli źdźbło spalimy na gorącej blasze, to się z niego zostanie tylko odrobina popiołu, a reszta uleci gdzieś z dymem. To wszystko, co się zupełnie spaliło, nazywają ludzie uczeni *materia organiczną* (czyli cząstkami roślinnemi), dlatego, że ta część palna rośliny wytwarza się zwykle tylko w organizmie żyjącym (organizmem nazywamy każde stworzenie, które jest zdolne żyć, rosnać, rozmnażać się, wreszcie umierać; a więc organizmem jest nie tylko ciało ludzkie, ale każde zwierzę i każda roślina). Z czego się tworzą te ciała or-

ganiczne, czyli te cząstki roślinne i zwierzęce dowiemy się dalej. Co zaś do pozostałej części, popielnej, to mówią o niej, że złożona jest z *cząstek mineralnych*, to jest takich, jakie znajdują się w ziemi, w różnych minerałach. Jasną jest rzeczą, że te cząstki mineralne roślina musiała wziąć korzeniami z ziemi, bo minerały tylko w ziemi, nie zaś w powietrzu się znajdują. Jeżelibyśmy popiół ze spalonej rośliny posłali do doświadczalni, aby nam zrobili rozbiór chemiczny, czyli żeby ten popiół rozłożyli na osobne cząsteczki i powiedzieli nam, co się w nim znajduje, to dowiedzielibyśmy się, że w tym popiele jest: fosfor, potas, sód, wapno i wiele innych, a nawet takie twarde rzeczy, jak krzemionka i żelazo. Może kto powie, że nie może być, aby roślina mogła brać z ziemi twarde żelazo. Byłoby w tém trochę prawdy, bo roślina rzeczywiście nie może wsiąkać w siebie żelaza w takim stanie, w jakim my go używamy, gdy naprzykład mamy z niego zrobiony młotek, nóż, kosę. Ale trzeba zwrócić uwagę na to, że ta sama rzecz może istnieć w różnych postaciach. Naprzykład kawałek lodu jest twardy, *skrzępty*, i nie może być wsiąknięty przez korzenie roślinne; ale gdy go położymy w ciepłym miejscu, to lód się rozpuści, stanie się *plynnym*, czyli zamieni się w wodę, którą już łatwo mogą wessać korzenie roślinne. Jeżeli znowu wodę rozgrzać aż do wrzenia, to się wygotuje, to jest ze stanu płynnego przejdzie w stan *lotny*, stanie się ulotem, i będziemy ją nazywać parą. I w tej postaci, jako para, woda może być pochłaniana przez rośliny, a mianowicie przez liście; choć zwykle tak się dzieje, że rośliny pochłaniają wodę w stanie płynnym przez korzenie, a przez liście ją wydalają z siebie w stanie lotnym, czyli w postaci pary. Coś podobnego dzieje się i z żelazem, ale niezupełnie tak samo. Wprawdzie przez silne nagrzewanie można żelazo doprowadzić do postaci płynnej, bo przecież w lejniach (giserniach) z roztopionego żelaza robią różne odlewy. Nawet można zapomocą wielkiego gorąca zamienić żelazo na ulot, boprowadzić je do stanu lotnego. Ale takie plynne lub lotne żelazo żadnej roślinie na nic się nie przyda, boby ją odrazu spaliło. Jest jednak inny sposób przemiany żelaza w stan płynny, o czém zaraz się dowiemy.

Powietrze, którem oddychamy, składa się głównie z dwóch ulotów: azotu i tlenu. Azotu jest w powietrzu prawie cztery razy więcej, niż tlenu. Azot bardzo trudno się łączy z innymi ciałami, ale tlen bardzo łatwo, i to łatwiej przy nagrzewaniu, niż na zimno. Gdy kowal kuje rozpalone żelazo, to odlatują iskry, to jest rozpalone cząsteczki żelaza, ale już nie czystego, lecz połączonego w ogień z tlenem; ten nowy związek żelaza z tlenem nazywa się *tlenkiem żelaza*; podobne tlenki dają i inne kruszce, naprzykład miedź, cynk, ołów. Podobny tlenek żelaza tworzy się i na zimno, ale bardzo pomalu. Jest to rdza. Wiemy, że nawet stal na powietrzu rdzewieje. Jeżeli taki tlenek oblejemy jakimś kwasem, naprzykład siarkowym, albo solnym, którego używają blacharze przy lutowaniu, to się on rozpuszcza, łączy się z tym kwasem, wiąże się z nim. Więc utworzy nowy związek, nowe ciało, które się nawet w wodzie łatwo rozpuszcza i może już łatwo przez korzenie dostać się wewnątrz rośliny. W taki sposób i żelazo dostaje się łatwo do wnętrza roślin przez korzenie. Uczeni każde połączenie tlenku z jakimkolwiek kwasem nazywają

solą. Sole takie, wprawdzie nie wszystkie, ale większa ich część, są łatwo rozpuszczalne w wodzie, a więc do spożywania przez rośliny łatwe.

W. Godowski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ozego pszczoły teraz bardzo potrzebują.

(Dokończenie.)

Do poddawania wodnej syty i wogóle do podkarmiania powinniśmy sprawić sobie raz na zawsze na każdy ul jedną mocną podkarmiaczkę blaszaną. Najlepsze są podkarmiaczki zrobione z grubej blachy cynkowej, jeszcze zaś lepsze z blachy angielskiej mocno pobielanej, kształtem podobne do pudełka, którego jeden bok jest 9, a drugi 10 cali długi, 2 i pół cala zaś są wysokie. Podkarmiaczka taka mieści w sobie około 2 kwarty płynu. Do każdej podkarmiaczki dorób trawkę z cienkich, 1 cal szerokich deszczulek, które zbij z sobą gwoździkami tak, aby pomiędzy sobą tworzyły szpary na grubość pszczoły. Trawka powinna być tak zrobiona, aby pływała po powierzchni syty i z łatwością bez opierania się o ściany boczne aż na samo dno w miarę ubywania płynu opadać mogła.

Przed użyciem rozpuść trochę wosku w jednej podkarmiaczce, i wysuszysz nad ogniem trawki, wygotuj je w tym wosku dobrze. Zabezpieczysz je tym sposobem na przyszłość od przemakania i pleśnienia.

Syta wodna robi się w sposób następujący: na 2 kwarty wody weź 3 funty cukru, postaw w czystym naczyniu na ogniu, a gdy się zagotuje, zeszumuj. Odstawiwszy od ognia dodaj do téj ilości jeszcze łyżkę miodu. Kto chce podkarmiać samą tylko sytą miodową, niech bierze 4 funty miodu na 2 kwarty wody.

Po oblocie pszczoł, na godzinę przed zachodem słońca porozkładaj po ulach podkarmiaczki z trawkami, i nalewaj do każdej pełno ciepłej jeszcze syty; potem połóż lekko i ostrożnie na wierzch płynu suchą trawkę, uważając, aby się nie zmoczyła zwierzchu; wkońcu podsun zwolna taką blaszaną z sytą i trawką pod same plastry w ulu ramowym.

Do podkarmiania pszczoł w kószkach trzeba się posługiwać skrzynkami, które się wstawia pomiędzy spody a kószki. W skrzynkach tych ustawia się podkarmiaczki w takiem położeniu i wysokości, żeby podchodziły pod same plastry. W przygotowanych i użytych do tego skrzynkach można potem pozawieszać ramki ze sztuczną węzą i wyzyskiwać miód z kószek przez nadstawki. W jaki sposób się to robi, później opiszę.

Pszczoły w pniach prostych, kószkach i ulach wszelkiego rodzaju można również z łatwością podkarmiać rzadką sytą przez wylot główny zapomocą zwykłych flaszek, jeśli oczko jest nie zamaste i nie za pochyłe (nie za skośne) i jeśli ktoś może postarać się o korki do flaszek zaopatrzone w niewielkie rurki szklane, grubości pióra gęsiego, kilka cali długie, przechodzące przez środek takiego korka nawskroś. Chcąc podkarmiać flaszka, trzeba przedtem wsadzić w otwór, w oczko, korytko blaszane takich wymiarów, jak na to wielkość wylotu pozwala; drugi koniec korytka powinien wystawać kilka cali na zewnątrz ula i być przykryty blaszką dla uchronienia syty od możliwego rabunku. W blaszce téj zrobisz przy końcu korytka otworek.

Korytko przymocujesz w położeniu dokładnie poziomem.

Butelkę napełnioną gorącą sytą zatkasz korkiem, w którym tkwi rurka szklana, aby płyn mógł się przez nią wylewać na zewnątrz.

Rurka taka, wystająca 1 do 2 cali z korka, jest na końcu krzywo ścięta. Jeżeli taką butelkę napełnioną płynem odwrócisz do góry dnem i koniec krzywo ściętej rurki włożysz do wystającego z ula korytka przez otworek w przykrywającej je blaszce, tak, aby zleżka dotykał dna korytka, to wówczas z butelki wyleje się do korytka tyle syty, jak wysoko sięga otwór krzywo ściętego końca szklanej rurki. Płyn podnosząc się w korytku zatka wkrótce ten otworek i nie będzie dopuszczał do wnętrza butelki małych banieczek powietrza. Gdy zaś nie może tam przedostawać się powietrze, to i syta z butelki nie może wypływać. Dopiero gdy pszczoły trochę syty odpiją i odkryją tym sposobem na nowo otworek w końcu rurki, powietrze wpada znowu do butelki, a natomiast niewielka ilość płynu wydostaje się do korytka. Dzieje się to kolejno dotąd, dopóki pszczoły wszystkiemu syty nie wypiją. Butelkę okrywa się ciepło, aby nie ostygła, i na wbitych gwoździach odpowiednio zawieszają się i przymocowuje. — Następnego ranka po podkarmieniu winienes wszystkie podkarmiaczki z pod rojów powyciągać, i oczyścić, aby nie zakwaśniały, do dalszego użytku w porządku przechować. Wyjmując podkarmiaczki łatwo zauważyć, które roje i w jakiej ilości sytę zabrały. Te, które zostawiły jej zbyt wiele w podkarmiaczkach, należy zbadać pierwszego-lepszego ciepłego dnia i odpowiednio z nimi postąpić.

W ten więc sposób wzmacniają roje, aby w nich szybko przybywało robotnic, a w swoim czasie sownie się to w plonie wynagrodzi.

Rzekłby kto z niedowierzających: Przecież pszczoły w dzikim stanie się gnieźdząc nie potrzebują wcale podkarmiania wodną sytą, a mimo to dobrze się udają. Tak, prawda to, ale nie zaprzeczy nikt, że w dzikim stanie żyjąca naprzykład kura, co ją zowią Bankiwa, znosi na rok dziesięć jaj, nasza zaś, w domu pielęgnowana, 150 i więcej.

Jeżeli więc chcesz zbierać, kochany bracie pszczelarzu, 10 kroć więcej plonu w miodzie, aniżeli go dziko gnieźdzące się pszczoły dać mogą, to trzeba koniecznie, abyś z zamiłowaniem zawsze w stosownej porze przychodził im z potrzebną pomocą.

Józef Bartnik.

Listy do Gazety Świątecznej.

Ze Słonima w gubernji grodzieńskiej.

Postanowiłem i ja napisać o nas, zapasowcach z powiatu opatowskiego, zaliczonych tu w Słonimie do 117-go bataljonu zapasowego piechoty.

Dzień 25 grudnia, w którym nawet Kościół święty nie pozwala się smucić, każąc śpiewać wesołe „Glorja“, dla nas był w tym roku dniem pożegnania z najbliższymi sercu. Nigdy nie zapomnimy dnia tego, jak również i owę chwilę, kiedy w Ostrowcu siadaliśmy do pociągu... Odezwał się ostatni dzwonek i ruszyliśmy z pieśnią „Kto się w opiekę“. Kamiennie chyba byłoby serce, co by w takiej chwili pozostało nieczułe... Przejechaliśmy do Skarżyska. Tu jeden z zapasowych powiada: Bracia! dzisiaj poze-

gnaliśmy swoich ukochanych i drogich sercu, nie wiedząc, czy ich kiedy zobaczymy. Nic nam więc nie pozostało, jak tylko ofiarować to Bogu i polecić się o pieczę naszej Orodniczki, Najświętszej Maryji Panny. W tym więc celu proszę was, kochani bracia, o ofiarę na mszę świętą w klasztorze Jasnogórskim, bo tam właśnie ojcowie nasi w największych smutkach i przykrościach życia zawsze odbierali łaskę, pociechę i ratunek. Idźmy i my za ich przykładem. — Na te słowa jednomyślnie posypały się ofiary. Zebrałiśmy 16 rubli z kopiejkami i posłaliśmy je na Jasną Górę, prosząc o nabożeństwo na naszą intencję.

W Słonimie umieszczono nas gdzie się dało, nawet w żydowskich szkołach i bóżnicach. I oto w tych domach, gdzie nigdy może nie były wspomniane Imiona Jezusa i Maryji, dziś, od dnia naszego tu przybycia, chwała Boga i Bogarodzicy rozbrzmiewa we dnie i w nocy. Dom żydowskiej modlitwy zamienił się w dom modlitwy chrześcijan-katolików, którzy pociechy szukali tylko u Boga.

Nie będę tu opisywał służby żołnierskiej i wywczasu, bo to jest wszystkim wiadome; to tylko nadmieniam, że na domiar tęsknoty za ukochanymi, uczuliśmy również wielką tęsknotę za kochaną Gazetą Świąteczną, z którą również pożegnaliśmy się opuszczając strzechę rodziną. Ja od dzieciństwa prawie jestem jej czytelnikiem i przyjacielem, to też przez parę tygodni pozostawałem, jak i wielu towarzyszy moich, w tęsknocie bez kochanej naszej Gazety Świątecznej, nie wiedząc, co się tam dzieje na Bożym świecie. Pragnęliśmy ją sobie sprowadzić, ale nie mieliśmy nadziei dłużej tu bawić. Już większa część naszych braci wyjechała ztąd na wojnę, a nas lada chwila wezwą. Ale kto czego szuka, to i znajdzie. Tak i ja udałem się do tutejszego czcigodnego księdza Michała Rutkowskiego z prośbą o jakie pismo do czytania i przedstawiłem mu nasze potrzeby. On zaś, jako ojciec duchowny bardzo czułego serca, przyjął serdecznie moją prośbę i nie tylko przyobiecał udzielać nam swoich pism, ale zaraz sprowadził własnym kosztem Gazetę Świąteczną, którą teraz co niedziela odbieramy. Dobremu i czulemu Pasterzowi, troszczącemu się o dobro nasze, w imieniu wszystkich tu braci załączam serdeczne „Panie Boże zapłać!“.

Wypada mi też wspomnieć i o mieszkańcach tutejszych. Są to po większej części ludzie oświeceni. Zrazu myśleliśmy, że to jest jaka zarozumiała szlachta. Dłużej jednak tu stojąc doszliśmy do przekonania, żeśmy byli w błędzie. Są to ludzie dobzy, bardzo szlachetni i pobożni. W kościele aż miło patrzeć, jak się tu pięknie i gorąco modlą, i starsi, i młodzież. Kościół Panien Bernardynek, do którego tu dochodzimy, jest bardzo piękny, i nabożeństwo w nim odprawia się bardzo wzniośle. Najbardziej podobają mi się tu śpiewy choralne z towarzyszeniem organu, podnoszące ducha do Stwórcy. O ten ład i porządek w kościele troszczy się ksiądz Michał Rutkowski. Jest tu i drugi kościół, parafjalny, ale do niego dalej, więc rzadko dochodzimy. Jeśli w tém piśmie mojem jest co błędnego, to proszę wybaczyć, jako prostakowi. To, co umiem, zawdzięczam jedynie Gazecie Świątecznej. Wszystkich też czytelników Gazety upraszam serdecznie o modlitwę za braci zapasowców.

Stanisław Kwiecień z Krynek w pow. opatowskim.

Z Nowo-Mikołajewska, miasta na Syberji.

Dnia 8-go marca.

Jako zapasowi, wyjechaliśmy z domu dnia 22-grudnia. Na razie wieziono nas do Słonima, do 118-go pułku Szujskiego. Jesteśmy z powiatów: kolskiego, tureckiego i łęczyckiego. W Słonimie byliśmy do 8 lutego. Gotowali nam polewkę z grochu, to z kapusty, to z buraków. Do spania mieliśmy maty ze słomy, pół cala grube. Teraz jedziemy pociągiem towarowym, po 34-ech w jednym wozie, jest więc ciasno i spać niewygodnie. Jeść dostajemy raz na dzień. Jedziemy już trzy tygodnie dzień i noc, a mamy jechać jeszcze drugie tyle, do miasta Charbina. Na jednej stacji zatrzymaliśmy się na obiad. Tam zobaczyliśmy pociąg jadący z dalekiego wschodu. Przyglądaliśmy mu się, a on postzelany kulami japońskimi. Było w nim więcej niż 200 dziur. Jedziemy dalej,—spotykamy znowu pociąg wojenny wiozący z wojny chorych i ranionych. W parę dni potem spotkaliśmy znowu chorych i ranionych. Zatrzymaliśmy się na dwie godziny i rozmawialiśmy z nimi. Im dalej jedziemy, tém więcej spotykamy chorych i ranionych. Ranieni są to w głowę, to w rękę, to w nogę, a niektórzy są bez nóg, bez rąk i bez oczu. Wojska w tamtą stronę jedzie bardzo dużo. Jeden pociąg przed nami rozbił się, i dwóch żołnierzy zostało zabitych, a 30 ranionych. W innym pociągu zapalił się wóz, spaliło się sześciu żołnierzy i jeden oficer. Bracia najmiłsi, proście Boga wespół z nami, żeby nas pocieszył, proście Matki Boskiej, żeby się wstawiła za nami, byśmy mogli wrócić do rodziców, do żon, do dzieci. A jeśli usłyszycie, że któremu z nas usypali mogiłę, módlcie się za nasze dusze.

Józef Węgielnik.

Nowinki telegraficzne.

Wojna rosyjsko-japońska.

Petersburg, d. 16. Do Najjaśniejszego Pana wiadomości od jenerała Kuropatkina: Dnia 12 marca. Donoszę Waszej Cesarzowskiej Mości, że jenerał-adjutant Majendorf spadł dnia 10 marca z konia, złamał obojczyk i wysłany został do Charbina. — D. 13 marca. Dziś w nocy zawiadomienia o starciach wojska z nieprzyjacielem nie nadeszły. Wojska dochodzą do porządku. Japończycy rozjeżdżają na zwiady. — D. 14 marca. Japończycy zawzięcie uderzali na środkową część wojsk rosyjskich nad rzeką Fanhe o półtoręj mili przed Telinem, lecz ich odparto. Tysiąc zgórą Japończyków zabitych leży przed obwarowaniem stanowiskiem Rossjan. — D. 14 marca. Po cięższym odparciu napadu Japończyków na południu od Telina nowych zawiadomień o walkach niema. Pozostałe w drodze z pod Mugdena odosobnione gromadki żołnierzy i żołnierze pojedynczy w ciągu ostatnich dwóch dni wracają i przyłączają się do oddziałów wojska. Część wozów z przyborami wojskowemi doprowadzono do porządku. Wozy idące tuż za pułkami po większej części już są przy wojsku. Wojska mają zapewnioną żywność. Korpusy wojska są gotowe do nowej bitwy. Do tego czasu niema całkowitych wiadomości o tém, ilu zostało pod Mugdenem zabitych, ranionych, i ilu przepadło, jak również niema wiadomości o utraconych armatach i wozach.

— *Dnia 15 marca.* Wojska przechodzą koło Telina (od strony południowej na północ) w zupełnym porządku. Jenerał Kuropatkin zrobił przegląd części jednej dywizji wojska i uznał, że wojsko wygląda świeżo. Przed odjazdem jenerała Kuropatkina z Telina bitwa się nie zaczęła. Jadąc z Telina na północ Kuropatkin widział wiele oddziałów wojska i wozów obozowych posuwających się drogą w zupełnym porządku. Przeglądał także świeżo przysłane z Rossji pułki wojska; wyglądają one doskonale.

— *D. 16 marca.* We środę 15 marca tylne części wojsk rosyjskich stoczyły bitwę na wzgórzu w południowo-wschodniej stronie od Telina i pod wsią Paliczwanem w tejże stronie. Nocą te tylne części wojsk odeszły na stanowiska na zakręcie rzeki Laohe (na północy od Telina) i do wsi Kaolinicy nieścigane przez nieprzyjaciela.—Nazajutrz, we czwartek, wojska rosyjskie szły dalej na północ. Miasto Fakumen zajęli we środę 15 marca hunhuzi.

Petersburg, d. 17 marca. Z Najwyższego rozkazu jenerał Kuropatkin został zwolniony ze stanowiska głównego wodza rosyjskich sił lądowych i morskich w wojnie z Japonją. Głównym wodzem tychże sił lądowych i morskich mianowany został jenerał *Liniewicz*, który na samym początku wojny dowodził wojskiem w Mandżurji, a w ostatnich paru miesiącach był dowódcą „pierwszego” wojska rosyjskiego i działał ku wschodowi od Mugdena. (Mikołaj, syn Piotra, Liniewicz pochodzi z gubernji czernihowskiej, ma lat 67. Służył w wojsku na Kaukazie, w Turkiestanie i Syberji wschodniej. Był przed pięćmi laty na wojnie w Chinach, do których były posłane wojska mocarstwa europejskie, a nadto Japonja i Stany Zjednoczone Ameryki. Teraz, w ostatniej wielkiej bitwie pod Mugdenem, dowodził pierwszym wojskiem rosyjskiem na wschodnim skrzydle. Odwrót z pod Mugdena wojsko jenerała Liniewicza wykonało z mniejszymi stratami niż wojska innych wodzów rosyjskich).

Wiadomości od jenerała Liniewicza otrzymane przez Najjaśniejszego Pana. *D. 18 marca.* W piątek dnia 17 marca armaty japońskie strzelały do wojska rosyjskiego znajdującego się o mil dwie na północy od Telina w dolinach rzek Tawantunu i Jampu. Japończycy zjawili się pod Kaolinicą, znacznie jeszcze dalej na północy. Do Fakumenu weszła jazda japońska. W sobotę wojsko rosyjskie zgromadza się.

Petersburg, d. 22 marca. Jenerał Kuropatkin mianowany został dowódcą wojska „pierwszego”, tego samego, którym dowodził przedtem Liniewicz.

Londyn, d. 16. (T. A. P.) Poseł japoński ogłosił otrzymaną tylko co z Tokja wiadomość: Przednie straże japońskie uderzyły na Rossjan pod Telinem ze wszystkich stron i zajęły miasto Telin dziś, we czwartek, na początku doby, po godzinie 12-tej w nocy.

Tokjo, d. 18. Główny wódz japoński Ojama donosi, że stację drogi żelaznej Telin Japończycy zajęli prawie bez bitwy nocą ze środy na czwartek 16-go marca. A była ona bardzo mocno obwarowana, tak, jak miasto Laojan. Rossjanie, opuszczając Telin, spalili tam większą część swych składów żywności. Nie zdążyli jednak zniszczyć zapasów strzełiwa, które wpadły w ręce Japończyków.

— Na zachodnim brzegu rzeki Laohe pod Telinem Japończycy rozproszyli s se-

cin jazdy rosyjskiej z armatami, zajęli wzgórze na północy od Telina, i walili z armat w cofających się z Telina ku północnej stronie Rossjan.

— *D. 20.* W sobotę, 18 marca, Japończycy zajęli opuszczoną przez Rossjan stację kolejową Kajuan (zobacz na rysunku dzisiejszym). Rossjanie odchodząc ztamtąd podpalili dworzec kolejowy.

— Rząd japoński zajęty jest przygotowaniem mieszkań dla 43 tysięcy jeńców, wziętych z wojska rosyjskiego w bitwie pod Mugdenem. Jeńcy ci będą rozmieszczeni w 20 miastach w Japonji.

— Najbardziej ucierpiał w bitwie pod Mugdenem korpus 16-ty. Wszystkich z niego, którzy pozostali przy życiu, zabrano do Japonji.

Berlin, d. 17. Gazeciarz od niemieckiej gazety urzędowej Binder, który się znajdował przy wojsku rosyjskiem w Mandżurji przy jenerale Kuropatkinie i przysyłał ztamtąd wiadomości, został wzięty przez Japończyków do niewoli. To samo stało się z francuskim gazeciarem z Paryża Nodo. Obaj oni donoszą telegrafem o swym losie.

— *D. 16.* Ostatni gazeciarz, który był prawie do końca przy wojsku jen. Kuropatkina w Mugdenie, a potem w Telinie, tak pisze przez telegraf do gazety „Nowego Czasu” w Petersburgu: „Tylko twarde obowiązki zmusza mnie do znoszenia tych strasznych trudów. Od dwu dni nie jadłem. Nocujemy nawet podczas dużego mrozu pod gołym niebem. Niema gdzie się umyć. Bielizny nie zmienialiśmy od kilku tygodni.”

— Na polu bitwy pod Cinhezenem (24 lutego), która była wstępem do wielkiej bitwy pod Mugdenem, Japończycy—według urzędowego sprawozdania—znaleźli 1200 żołnierzy rosyjskich zabitych i 80 wzięli do niewoli. Zabrali 2200 karabinów, 6 armatek kartaczożnic i mnóstwo nabojów.

Petersburg, d. 19. Zarządzający szpitalami rosyjskimi na wojnie, jenerał Trepow, donosi, że od 28 lutego do 14 marca wysłano z Mugdena, a następnie z Telina dalej na północ oficerów ranionych tysiąc i 379, chorych 433, żołnierzy ranionych 56 tysięcy i 723, chorych 4 tysiące i 965, czyli razem 63 i pół tysiący ludzi potrzebujących pomocy lekarskiej. Zostawiono w szpitalach w Mugdenie 800 ciężko ranionych Rossjan, i około 350 ciężko ranionych Japończyków. Wywieźć ich niemożna było, bo zmarliby w drodze.

Gundzulin (stacja drogi żelaznej o 20 mil na północy od Telina), *d. 20.* Od rana słychać strzały armatnie o 10 mil na południu od Telina. (Z doniesienia tego wiadać, że nie wszystkie jeszcze oddziały wojska rosyjskiego zdążyły przedostać się na północ od Telina, w którym są już Japończycy).

Londyn, d. 20. Poseł japoński otrzymał urzędową wiadomość z Tokja, że w niedzielę, 19 marca, Japończycy zajęli Kajuan (Kajuansian?) o 4 mile na północy od Telina. Rossjan, którzy uderzyli tam na oddział japoński, odparto. Spalili oni mosty na wielkiej drodze chińskiej na południu od Kajuanu i zburzyli część mostu kolejowego. W pobliżu Mugdena znaleziono armaty rosyjskie zakopane w ziemi.

Paryż, d. 20 (T. A. P.) Z Tokja donosi do Paryża jeden gazeciarz francuski, że odwiedził niedawno jeńców rosyjskich w mieście Macujamie w Japonji. Jest tam ich obecnie 3036. Każdy z nich dostaje codzień po 3 funty chleba białego, po pół funta mięsa, ogrodowiz-

ny, 4 razy dziennie herbatę, co tydzień 60 papierosów i 40 sucharów. Jeńcy są podzieleni na osobne gromady podług swjej wiary. Codziennie odprawiają oni modły. Co tydzień chodzą do łaźni i na przedchadzkę.

Tamanarywa (na Madagaskarze, wyspie w Afryce), *d. 19.* Okręty rosyjskie płynące na wojnę na daleki wschód, pod dowództwem admirała Rożestwieńskiego, stały kilka tygodni w przystani przy wyspie Nosibe, koło północnego brzegu Madagaskaru. Onegdaj odpłynęły, lecz wiadomo dołąd. Prawdopodobnie poszły na spotkanie dodatkowej gromady rosyjskich okrętów, wysłanej pod dowództwem admirała Niebogotowa przez kanał Suezki i morze Czerwone, aby z nią razem płynąć w dalszą drogę.

Singapur (miasto nadmorskie na półwyspie Malace, na południowym końcu wschodniej strony Azji), *dnia 19 marca.* W pobliżu Singapuru widziano w tych dniach 22 okręty wojenne japońskie. Japończycy gotują się do spotkania z okrętami rosyjskimi. Muszą pilnować wszystkich dróg morskich, wiodących z Oceanu Południowego, a raczej Indyjskiego, na Ocean Wschodni czyli Wielki, w okolicach wysp Sumatry i Jawy.

Pekin, d. 20. Cesarz chiński ustanowił namiestnika do rządzenia Mandżurją. Namiestnik odjechał już do Mugdena, odbywszy przedtem naradę z postem japońskim w Pekinie. (Dotychczas rząd chiński nie miał w Mandżurji namiestnika, tylko trzech swoich „dzianziuniów” czyli gubernatorów, urzędujących w miastach Mugdenie, Girynie i Cyczkarze).

— W Japonji uczy się teraz w szkołach 5 tysięcy młodych Chińczyków, przez swój rząd tam posłanych. Rząd chiński sprowadził też do swego kraju 70 nauczycieli japońskich.

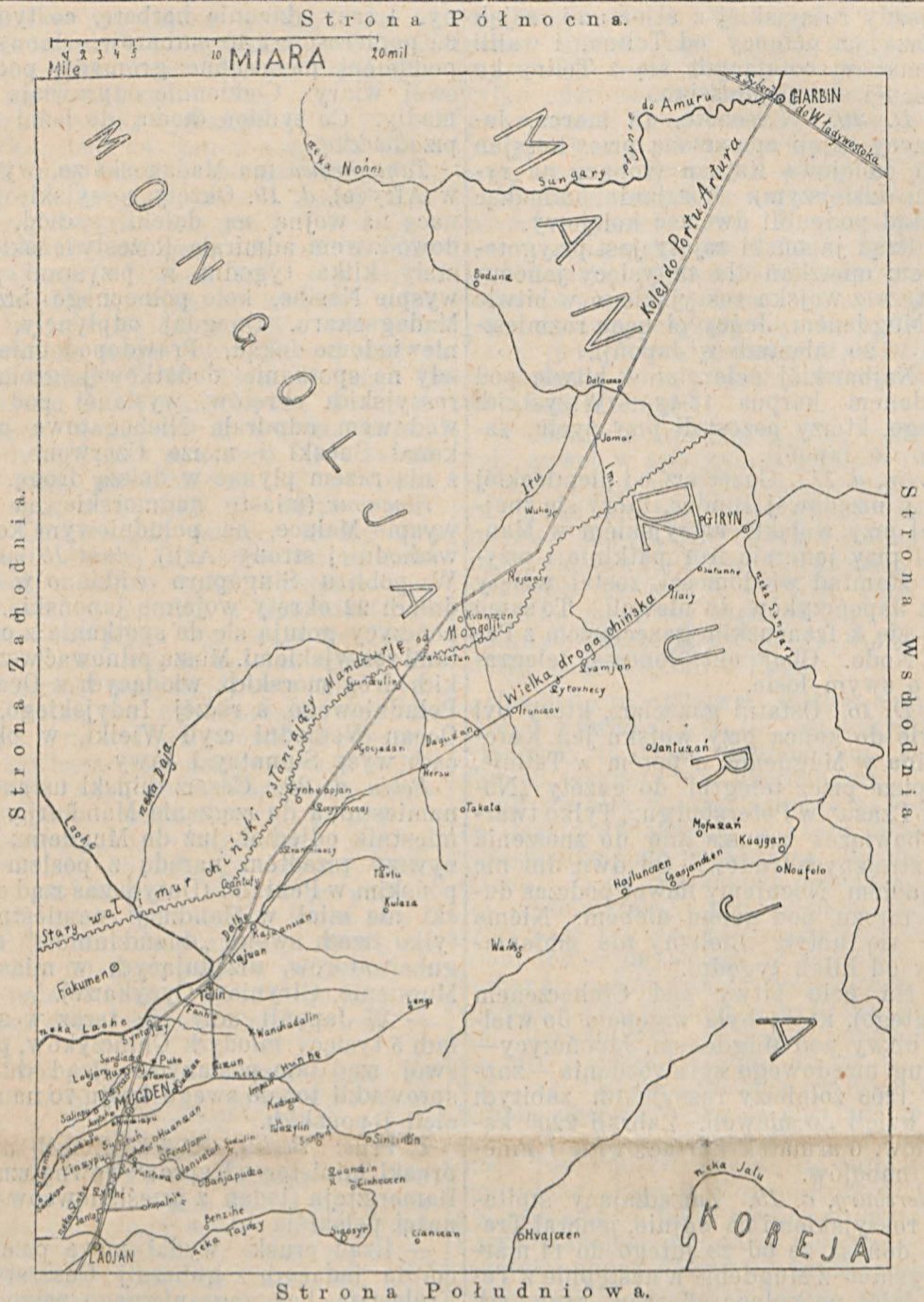
Z Prus. *Berlin, d. 21.* Zmarł nagle pruski minister od spraw wewnętrznych, Hamersztejn (jeden z prześladowców ludności polskiej).

— Rząd pruski wydał nowe przepisy co do jadących z gubernij Cesarstwa i Królestwa bez zagranicznego paszportu. Wstęp do Prus pozwolony jest tylko takim wychodcom, którzy mają zawczasu kupione bilety okrętowe (przez Niemców zwane „szyfkarty”) na przejazd do Ameryki od niemieckiego towarzystwa i bilety kolejowe na przejazd przez Niemcy do miasta nadmorskiego, gdzie mają wsiąść na okręt. Oprócz tego każdy wychodziec dorosły pokazać musi na granicy urzędnikom pruskim, że ma 400 marek (około 190 rubli) pieniędzy, a jeśli jedzie z dziećmi, to jeszcze mieć musi po 100 marek czyli 48 rubli na każde dziecko.

Z Turcji. *Konstantynopol, d. 20.* Rząd turecki wystąpił ze skargą do mocarstw, że w Bułgarji tworzą się znowu oddziały zbrojne, aby wejść do Macedonji i wszcząć tam wojnę. Kierownicy ruchu macedońskiego odbywają narady we wsi Markowie w Bułgarji koło granicy tureckiej.

W okolicy Siroli w okręgu salonickim w Macedonji wojsko tureckie otoczyło i rozbiło bułgarski oddział zbrojny, złożony z 38 ludzi. Poległo 30 Bułgarów, a w tej liczbie dowódca, nazwiskiem Apostoł, którego ludność bułgarska w Macedonji bardzo poważała. Z Turków tylko jeden zabity i 11 ranionych. Inny oddział bułgarski poniósł porażkę w starciu z wojskiem tureckim 12 marca pod Monastyrem. Zabito tam 7 powstańców, a 5 wzięto do niewoli.

Z kraju Somali, na wschodnim końcu Afryki, donoszą o zakończeniu tam wojny z Anglią. Somalowie pod dowództwem



znakiem, iż to samo może być wszędzie.
 P. Kazimierzowi R. w K. Polecamy wysłać Wam przede wszystkim Gazetę z pisaniem wykładającą i objaśniającą ustawę gminną. Z tych pisań najwięcej skorzystacie. Przeczytajcie więc je uważnie i zachowajcie w porządku, aby potem nieraz do nich jeszcze zaglądać i przypominać sobie, i douczać się tego, czego potrzeba będzie. Razem też opakowane otrzymacie dwie książeczki podające samą ustawę, przepisy prawa gminnego, ale bez objaśnień. Oplaciecie za tę przesyłkę przy jej odbieraniu z poczty.

P. Franciszkowi L. w T. Jeśli w urzędzie gminnym gazety i listy często giną, to może wam lepiej byłoby odbierać wprost z poczty. Jeśli wolicie tak, to napiszcie do redakcji naszej, żeby kartki adresowe były bez nazwy gminy, tylko żeby miały nazwę wsi waszej i stacji pocztowej. W takim razie stacja nie będzie odsyłała do gminy. We wszystkich mozarstwach i krajach od czasu do czasu zbierają wiadomości za pośrednictwem wójtów, sołtysów, lub innych urzędników, ile w każdej wsi i mieście jest koni, osłów, mułów, ile krów, wołów, owiec, świń, rojów pszczeli i t. d. Wiadomości o tym zwykle zbierają nie na to, żeby od zwierząt domowych podatek jakiś ustanawiać, ale tylko dla nauki. O tym, ile w każdej krainie jest jakich zwierząt domowych, drukują w gazetach, w książkach, i uczą w niektórych wyższych szkołach.

P. Janowi Cz. w Ł. Redakcja nie może zażądać się pośrednictwem w kupnie i sprzedaży, bo na czynności kupieckie nie ma czasu. Rzeczy spożywcze w niektórych miejscowościach są znacznie tańsze, niż w Warszawie, ale przewóz lub przesyłanie i praca ludzka około tego, a przytym mieszkanie na skład i utrzymanie sklepu w Warszawie dużo kosztuje. Wszystko to cenę tych samych rzeczy powiększa.

Ochroniarce. Adres owego biura po francusku: „Via Amérique. Japon. Bureau de renseignements sur les prisonniers de guerre à Tôkyô“, po japońsku zaś: „Furio Johokioku. Tokio. Japon.“

P. Hołocie Marc. Adres jak wyżej. Nazwisko żołnierza, nazwę pułku, bataljonu i t. d. można napisać na kopercie po rosyjsku; urzędnicy owego biura japońskiego władają językiem rosyjskim.

P. Janiakowi. Jeżeli wiadomo jest, za kogo ciotka wysłała zamąż, jako też że mieszka dotychczas w Warszawie, to można ją odnaleźć za pośrednictwem biura adresowego, któremu zapłaci się za to 3 kopiejki. Aby jednak otrzymać z biura wiadomość, trzeba wskazać imię i nazwisko osoby poszukiwanej, oraz imię jej ojca, albo zawód tej osoby, to jest rodzaj jej zajęcia. Biuro adresowe warszawskie mieści się w ratuszu.

P. Łabanowskiemu A. Towarzystwa takiego nie ma w Warszawie.

P. Paszkiewicz. J. w Sz. Prosimy napisać, które numery nie doszły.

P. Ignatowiczowi. Gazeta 1201 i 1202 wyczerpana.

człowieka przezwanego szalonym Mułłą wycięli przed kilku laty wyprawę zbrojną Anglików, chcących obok Włochów rozciągnąć tam swoje panowanie. Anglja posłała wojsko, aby Somalów „ukarać“. Traciła jednak tylko ludzi i pieniądze, a Somalowie nie dali ukarać się. Aż nareszcie teraz po paru latach wojowania zawarty został przez pośrednictwo Włochów pokój między Anglią a owym „szalonym Mułłą“. Umowa o pokój wygląda jako niby poddanie się Mułły rządowi włoskiemu. Umowę podpisali Mułła i pełnomocnik włoski i zarazem angielski, Pestalocy. Mułła będzie dalej panować nad większą częścią Somali, a króla włoskiego uważać za swego zwierzchnika w sprawach z obcymi mocarstwami, więc i z Anglią. Rząd włoski będzie utrzymywał przy dworze Mułły swojego urzędnika czyli przedstawiciela. Mułła zobowiązał się nie pozwalać na handel niewolnikami (muzułmanami) w Afryce i sprzedawanymi Arabom i innym ludziom w Azji i Afryce) oraz ułatwiać handel i dawać opiekę Europejczykom przyjeżdżającym do Somali.

Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nowy-Jork, d. 19. W Nowym-Jorku

spalił się duży dom, zamieszkały przez żydów polskich. W płomieniach zginęło wielu mieszkańców. Ze zgliszczy wydobyto do tej pory 19 trupów. 12 ludzi jest ciężko poparzonych. Wielu jeszcze nie odnaleziono.

— D. 21. W Broktonie, mieście w krainie Masaczuzecie, zawałiła się od wybuchu wielkiego kotła parowego i spaliła się fabryka obuwia, dom czteropiętrowy. Z gruzów i zgliszczy wydobyto dotychczas 600 trupów i 50 ludzi poranionych.

Odpowiedzi Pisarza Gazety Świątecznej.

P. M. Hel. Ze słów o żywotności, czy jej braku, ujawnia się, że Gazeta np. z roku ubiegłego na wiosnę i w lecie nie była czytana. Z zamkniętymi oczyma niepodobna sądzić trafnie o kolorach i łatwo wziąć czarne za białe, lub na odwrót. Łatwo też można zauważyć Kopernikowi, iż napisał jakąś tam broszurę o pieniądzach, a nie zajmował się wcale astronomją i nie miał niej pojęcia. Wartość wiedzieć, gdzie źródło owej sprawy na dobre i żywotności pism. Gdy piekacz dleba napiecze i ludziom go odda, może do czasu nowej potrzeby nim się nie zajmować, a niekiedy nawet powinien właśnie piekarstwem się nie popisywać, jeno czekać, aż upieczony zapas ludzie spożyją, aby wtedy znowu mógł bez przeszkód do chleba się wziąć. W błędzie też są ci, którzy sądzą, że coś dane tu lub owdzie jest

Wszystkim, którzy okazali nam tyle współczucia i życzliwości w tak bolesnej chwili i oddali ostatnią posługę w odprowadzeniu zwłok na miejsce wiecznego spoczynku

S. P.

Józefy z Wielgórskich

Karwowskiej,

składamy z głębi zbolalego serca „Bóg zapłać“.

MAŻ I SIOSTRZENICA.

Jest jeszcze

Ziemia do sprzedania,

łąki z torfem, las, w majątku Starój-Lomży, poczta Łomża. 3038-3-3*

CHORZY na OCZY znajdują poradę w WARSZAWIE, przy ulicy SENATORSKIEJ, 32, w Zakładzie dla chorych na oczy Doktora KĘPIŃSKIEGO.

Opiata za poradę 50 kop. 2484*-59

Na stronicach dodanych, 9 i 10, dzisiejszej Gazety mieszczą się: Ceny targowe.—Ziemia do kupowania.—Ogłoszenia.